

# Biuletyn



## PTTK

OKRĘGU ŁÓDZKIEGO

Łódź, ul. Piotrkowska 102a, tel. 229-86



Rok XX

wrzesień 1975 r.

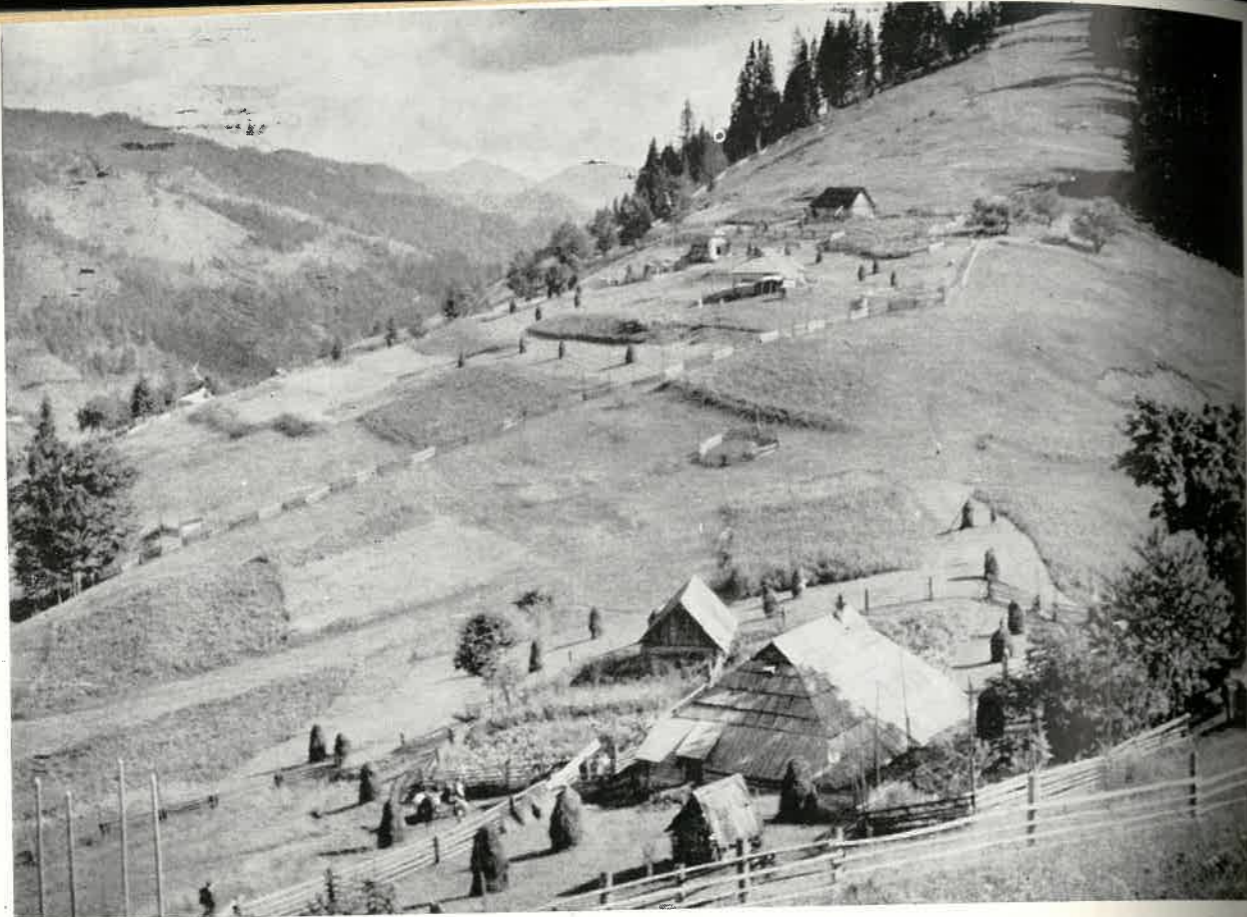
Nr 231

XXV LAT PTTK



Polonina na Małych Stopniach (Beskidy Hryniawskie)

W dali Pop Iwan



Hryniawa — chaty na przełęczy pod Kobylą Wielką

fol. Jan Jaroszyński



Zabie Stupejka — Huculi przed cerkwią

## MOJE PODHOLE

Ziymio ojcowsko kochano  
 Cok od dziecka po tobie stapoł  
 Tyś lo mnie ino jedyno  
 Do ciebie wróce, choć byk sie ka odplontoł.

Tuk urós jak kwiotek na łące  
 Wóród smreków i tyj tatrzańskijj przełęcy  
 Zawse zbacuje roki dziecęce  
 Młodości kieby było wiyncyj.

Choćby jo przeseł kroj cały  
 Zwiydziyk huty, kopalnie, port i morze  
 Choćby mi ptocki piykniej épiywały  
 To mi nolepiyj na tym ojcowskim skolnym ugorze.

Franek Hodorowicz

Pięknym wierszem góralskiego poety z Bukowiny Tatrzańskiej otwieramy obecny numer Biuletynu przygotowany na X Zlot Przodowników GOT PTTK działających na nizinnych terenach naszego kraju.

Daleko od gór mieszkając i pracując jesteśmy z górami mocno związani. Tym mocniej, że góry nie są dla nas codziennością widzianą przez okno, że są dla nas zawsze nowym, zawsze niepowtarzalnym przeżyciem. Dlatego tak bliskie są nam wszystkie sprawy górskie i problemy górskiej turystyki.

W naszym życiu zawodowym, społecznym i towarzyskim stykamy się z ludźmi, którzy gór nie znają i niewiele o górach wiedzą. Od nas zależy, czy i jak poznają góry; od tego, jak wypełniamy swoją społeczną funkcję Przodownika GOT. Tylko od nas samych zależy, czy każdy z nas osiągnie tę wielką osobistą satysfakcję, jaką daje ukształtowanie "rasowego górala", czy po górach chodzić będą turyści, czy natrętna, hałaśliwa "stonka". Rola Przodowników GOT w wychowaniu dobrych turystów jest olbrzymia, choć nie w pełni doceniana i wykorzystywana.

Życzymy wszystkim naszym Kolegom Przodownikom obradującym w Warszawie, aby wszyscy napotykanii na szlakach byli turystami...

Zdjęcia Jana Jaroszyńskiego i Adolfa Duszka zamieszczone w bieżącym numerze pochodzą ze zbiorów Doktora Mieczysława Orłowicza. Kol. Halinie Millerowej serdecznie dziękujemy za ich udostępnienie.

Redakcja

### PO CO IDZIEMY, PO CO WOZIMY, PO CO SIĘ SPOTYKAMY

Wiemy dobrze, po co idziemy w góry - po przeżycia, które daje wysiłek i zetknięcie się z przyrodą mniej lub więcej pierwotną; po przeżycia, które nam dają Góry. I chcemy ten sposób przeżywania gór wpajać nowym pokoleniom turystów.

Ala doprawdy nie wiemy, po co wozimy autokarami ludzi, którzy tego przeżycia nie pragną i nie rozumieją. Po co, przez niepotrzebne ułatwienia, uniemożliwiamy im bezpośredni kontakt z przyrodą. Po co, przez puszczenie "na żywioł" nie kierowanych mas ludzkich, doprowadzamy do dewastacji górskiej przyrody.

Wszyscy turyści zdają sobie sprawę, że turystyka górska musi być wreszcie ujęta w racjonalne karby i służyć kulturze, a nie wypełnianiu abstrakcyjnych planów ilościowych czy kaczmarskich zysków.

Spotykamy się dlatego, aby jasno i głośno wypowiedzieć swe sądy o tym, jaką chcemy mieć turystykę. Czynimy to z pełnym przekonaniem, że działamy w interesie kultury narodowej i socjalistycznego wychowania społeczeństwa - społeczeństwa nastawionego na twórczość i wysiłek, a nie jedynie na konsumpcję i wygodnictwo. Prawdziwy postęp to podciąganie najszerszych mas do wyższego poziomu kulturalnego.

Dlatego musimy potępić ostro wszelkie objawy spłylenia turystyki przez schlebienie niskim instynktom. A to zbyt często jest tolerowane i zbyt często góry zamienia się w ordynarny jarmark.

Niechże X Zlot wypowie się odważnie po stronie kulturalnych form turystyki, zgodnych ze wspaniałymi tradycjami Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Możemy być dumni, że jako członkowie PTTK należymy do organizacji społecznej mającej tak bogaty program kulturalny, ale bądźmy konsekwentni w żądaniu, aby słowa zamieniały się w czyn.

Kazimierz Hempel

### NA X ZLOT PRZODOWNIKÓW GOT OKRĘGÓW NIZINNYCH PTTK

Już po raz dziesiąty spotykają się Przodownicy GOT PTTK reprezentujący nizinne Okręgi naszego Towarzystwa. Tegoroczny Zlot ma niejako jubileuszowy charakter, warto więc zastanowić się, co przez te lata zmieniło się w górskiej turystyce, co zdołaliśmy osiągnąć, czego osiągnąć nie zdołaliśmy.

Nie ulega wątpliwości, że nasza górska turystyka przeżywa "złe dni". Praprzyczyną obecnej sytuacji jest żywiołowy rozwój turystyki niosący - oprócz niewątpliwie słusznym społecznie efektów /powszechne prawo do wypoczynku i zwiększający się stale czas wolny od pracy oraz ogólny stały wzrost poziomu życia ludności wyraziły się między innymi w rosnącym popycie na usługi turystyczne/ - wiele skutków zdecydowanie

negatywnych - przede wszystkim żenująco niski poziom uprawiania turystyki, zastraszająco szybko postępujące nieczyszczenie środowiska. Ponadto tzw "baza turystyczna" była i jest zdecydowanie uboga. Do gór dotarli ludzie, którzy nie powinni w ogóle się tam znaleźć i którzy równie dobrze mogliby odpoczywać gdzie indziej.

Skoro jednak masowy pęd do gór stał się faktem dokonany, ludzie stanowiący elitę turystów i sprawujący w naszym Towarzystwie odpowiedzialne funkcje, zaczęli szukać dróg wyjścia z tego impasu. Narodziło się wiele cennych inicjatyw, powstało wiele konkretnych projektów, które z jednej strony miały na celu ratowanie gór przed całkowitym zniszczeniem, a z drugiej - umożliwienie ludziom jak najlepszego wypoczynku połączonego ściśle z krajoznawstwem i nasyconego elementami turystyki kwalifikowanej. O ile jednak sprawy programowe zostały na ogół zrealizowane pozytywnie wewnątrz PTTK, o tyle postulaty kierowane na zewnątrz trafiały w próżnię.

Od wielu lat KTG ZG PTTK postulowała, aby produkowany sprzęt tzw "turystyczny" nadawał się rzeczywiście do turystyki. Dziś, mimo poprawy, nadal brak dobrych butów, dobrych plecaków, lekkich materacy itp itd.

Od lat dwudziestu KTG ZG PTTK występowała o budowę odpowiedniej ilości małych schronisk górskich z prawdziwego zdarzenia. Od lat czterech sprawa "ruszyła z miejsca", ale efekty dotychczas są nikłe. Również od dawna władze naszej turystyki górskiej postulują wyciągnięcie surowych sankcji wobec ludzi naruszających zasady społecznego współżycia podczas turystycznych wypraw i wycieczek. Powołano wprawdzie Służbę Kultury Szlaku, ale tak naprawdę istnieje ona na papierze.

Od bardzo dawna znane są powszechnie: fatalna gospodarka w schroniskach pod szyldem PTTK i wybitnie godzące w interes turystyki jako zjawiska społecznie korzystnego zasady ekonomiczne obowiązujące w tych obiektach. Mam tu na myśli z gruntu fałszywe założenie dochodowości schronisk górskich i związaną z tym pogoń za zyskiem za wszelką cenę. Wyzwała to niechęć do udzielania przysługujących i zagwarantowanych w statucie zniżek organizacyjnych, powoduje wykorzystywanie schronisk PTTK na cele niezgodne z ich przeznaczeniem /kursokonferencje, staże wczasy, kolonie dla dzieci itp/, pozwala na śrubowanie cen za usługi przy niskim ich poziomie, powoduje obecność alkoholu w schroniskowym menu /co zakrawa na jawny skandal/, każe traktować indywidualnego turystę jako intruza.

Wymieniłem tylko cztery najistotniejsze, moim zdaniem, problemy, z którymi KTG ZG PTTK występuje od dawna na zewnątrz, mając za sobą poparcie ogółu najwartościowszej kadry społecznej PTTK, czego dowodem są uchwały kolejnych zlotów przodowniczych, w których uparcie powracają

sprawy sprzętu, bazy, kultury turystycznej i zkiej gospodarki w obiektach PTTK-owskich. Niestety - również uchwały zlotowe, będące wyrazem opinii publicznej, podejmowane przez ludzi żywo tymi sprawami zainteresowanych i znających się na rzeczy - nie doczekały się należytego odzewu. Wprawdzie, jak wspomniałem, sprzęt turystyczny uległ i ulega pewnej poprawie, ale nadal indywidualny turysta z legitymacją PTTK nie jest w schronisku upragnionym gościem, nadal w schroniskach sprzedawane jest piwo, nadal organizowane są kolonie, konferencje i wczasy, nadal pierwszeństw mają pijane wycieczki, nadal bezkarni są organizatorzy tych eskapad /marnotrawcy społecznych pieniędzy.../, nadal ... Można mnożyć owe niezrealizowane postulaty.

Nasuwa się więc pytanie, czy w ogóle nasze zloty są potrzebne, czy nasze uchwały i postulaty mają rację bytu. Odpowiedź jest prosta - tak! Oczywiście należy być przygotowanym na to, że i uchwały obecnego Zlotu, tak jak poprzednie, miną bez echa. Dopóki jednak jesteśmy społecznymi działaczami społecznego Towarzystwa, dopóki stanowimy elitę turystów górskich - dopóty nie wolno nam wątpić w sens i słuszność naszych działań i naszych wystąpień. Nasze Zloty nie są towarzyskimi spotkaniami garstki fanatyków - są roboczą naradą ludzi, którzy znają i rozumieją swoją odpowiedzialność wobec problemów górskiej turystyki i z racji pełnionej społecznie zaszczytnej funkcji Przewodnika GOT czują się upoważnieni do zabierania głosu w sprawach z tą dyscypliną turystyki związanych.

Potrzebna jest nam jedność, wytrwałość, zdecydowanie i stanowczość. Mając te cechy osiągniemy - jeśli nie całkowitą realizację naszych postulatów - to przynajmniej wewnętrzne poczucie, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, dla ratowania naszego górskiego domu przed zagładą.

.....  
O "dachu nad głową" uwag kilka.

W 43 tomie "Wierchów" na str. 185 mgr Władysław Krygowski porusza ponownie sprawę budowy małych schronisk w naszych górach.

W nrze 1581 z dn. 27 lipca 1975 roku tyg. "Przekrój" red. Ireneusz Kasprzysiak w artykule "Pierwsza - na Rycerzowej" opisuje założenia i początek akcji "Bacówka PTTK". Artykuł Kasprzysiaka jest bardzo optymistyczny, pełen pochwał - słusznych, jako że założenia i projekty są rzeczywiście znakomite. Optymizm dziennikarza jest niczym nie zmącony, a wynika to - jak podejrzewam - z faktu, że nie był on w schronisku na Starych Wierchach ani w budowanym od kilku lat schronisku pod Lubaniem. O tych obiektach nie wspomina zresztą w artykule.

Krygowski jest ostrożniejszy w pochwałach - i ma rację. Pomijając bowiem fakt, że budowa owych małych schronisk, które rzeczywiście

z bacówkami niewiele mają wspólnego, rozpoczęła się z paroletnim opóźnieniem, to pierwsze z tej serii schronisko na Starych Wierchach, choć bardzo przyjemna i ładna, do udanych nie należy i optymizmem nie napawa. Krygowski podaje jako mankamenty brak wody, przeciekający po półrocznej eksploatacji dach i zawrotny koszt budowy /ok. 4,5 miliona złotych!/. Ja dodam do tej listy drobniąg - smród wydobywający się z suchej ubikacji zlokalizowanej wewnątrz budynku. Nie powinno się takiego wzoru naśladować, raczej potraktować by go można w myśl zasady "uczynmy się na własnych błędach". Można by...

Niniejszym dorzucam swoje obserwacje z budowy schroniska pod Lubaniem, którą to budowę obserwuję od trzech lat.

Pomijam lokalizację tego obiektu /ok. 300 m poniżej szczytu u stóp bardzo stromej polany Wyrobki, przy dotychczas nie oznakowanych drogach z Krośnicy i Grywałdu, tuż przy ścianie lasu, bez żadnej widoczności/, bo na ten temat zdania są podzielone, a ostatecznie najważniejsze jest, że jest.

Buduje się tę chatkę już trzeci rok i nadal nie widać końca. Obecnie /wrzesień 1975/ schronisko jest dopiero pod dachem, bez wyposażenia. Kolejny /trzeci znany mi/ termin otwarcia minął 22 lipca 1975 roku. Buduje ten obiekt już trzecia brygada. Pierwsza układała w maju 74 r. dach z gontów. Miały być po dwie warstwy gontów po każdej stronie. Położono z jednej strony trzy warstwy, z drugiej - jedną. Kolejna brygada zrywała ten dach, a następny ułożony był w większości z nowych gontów, poprzednie bowiem /też nowe/ zniszczyły "się" podczas zrywania. Przerabiano również wejście, bo w pierwszej wersji wykonania wysokość hallu wynosiła ok. 180 cm bez podłogi.

1 września 75 r. zwiadałem ukończony w 4/5 obiekt oprowadzany przez kierownictwo.

Na parterze po lewej stronie od wejścia znajduje się niewielki pokój - 4-osobowa sypialnia. Po prawej - spora świetlica, na wprost - mała kuchnia i takiejże wielkości pomieszczenie gospodarcze. Na pierwszym piętrze pokój kierownictwa, pokój służbowy i sale sypialne /10-cio i 2-osobowa/. Na drugim - małe pokoiki, w którym nie wolno mieszkać, bo przepisy przeciwpożarowe zabraniają... W piwnicy kotłownia /schronisko będzie wyposażone w centralne ogrzewanie/, duże magazyny żywnościowe, łazienka dla personelu, pralnia, suszarnia i dwie umywalnie dla turystów. Ilość miejsc noclegowych - 16!!! Koszt budowy przekroczył już 2 miliony złotych. Bez wyposażenia. A do końca jeszcze daleko. Trudno się tej sumie zresztą dziwić. Mówił mi w ubiegłym roku jeden z górali budujących to schronisko, że małe domki obok /sucha dwukabinowa ubikacja i składzik/ kosztował 200 tysięcy. Hojnie szafowano tu pieniędzmi.

Uważny czytelnik zauważy, że w wyliczeniu pomieszczeń brak jest kuchni turystycznej. Tak, tego pomieszczenia w schronisku nie zaprojektowano!!! "A po co wrzątkom kuchnia?" - usłyszałem - "przecież będą dania barowe - jajecznica, bigos, kiełbasa z rusztu i fasolka po bretońsku oraz herbata". Tym sposobem dowiedziałem się, że turysta to "wrzątek", który nie powinien sam gotować, a kontentować się tym, co mu zaszerwuje schroniskowa "mała gastronomia". A co serwuje - dowiedziałem się od klnących turystów już w początkach lipca tego roku. 10-cioosobowa porcja zwykłej kiełbasy z rusztu z chlebem i musztardą kosztuje 20 zł!!! W końcu lipca nawet i tej kiełbasy nie było. Za to na 22 lipca wyjechała na górę furmanka wyładowana skrzynkami piwa, które sprzedawano potem po 12 zł butelka! /wiadomość od górali/. Wiele osób, które uwierzyły w informację prasową oraz w wiadomość w najnowszym wydaniu przewodnika "Gorce" Józefa Nyki i wybrały się coś zjeść w nowym schronisku /Nyka podaje na str. 222 w/w przewodnika - 60 miejsc!/, zawiodły się na całej linii. Zawiedli się i ci turyści, którzy poszli nowymi szlakami łącznikowymi od głównego szlaku czerwonego i od niebieskiego szlaku z Czorsztyna za gęsto rozwieszonymi strzałkami "Do schroniska". Zapytałem, po co wiszą te tabliczki, po co są te przecinki, skoro schronisko jest jeszcze nieczynne. Usłyszałem: "żeby mi wrzątki drogę przetarły"!

Kolejna ciekawostka to ujęcie wody dla schroniska. Ktoś długo nad tym myślał i w efekcie wodę ujęto ze źródła bliżej położonego i wydajniejszego, ale położonego niżej, /a było do wyboru drugie, słabsze i o parędziesiąt metrów dalej, lecz wyżej położone/, w efekcie ciśnienie wody jest prawie żadne i - jak stwierdziła kierowniczką - "wodę do kaloryferów będziemy chyba konewką nalewać...".

Sądzę, że do całości nic dodać, nic ująć. Przypomniałem kiedyś w Biuletynie starą prawdę, że schronisko górskie z założenia powinno być deficytowe, jeśli chcemy mieć w miarę zdrową w nim atmosferę. Ten obiekt ma już wyznaczoną granicę deficytu. Wielu jednak kosztów można by uniknąć przy pamiętaniu o podstawowych zasadach ekonomii. Tu zaś nawet zasady zwykłego "gospodarskiego pomysłu" poszły w niepamięć. Niewiarygodnie długi czas budowy, złe wykorzystanie miejsca /przecież kubatura Starych Wierchów jest podobna, a tam jest ok. 30 miejsc noclegowych/, marnotrawstwo... Gdzie był inspektor nadzoru?

Red. Kasprzysiak w swoim artykule cytuje słowa projektanta "bacówek", inż. Karpiela, na temat prowadzenia tych obiektów: "Będą je prowadzili ci, którzy odczuwają potrzebę siedzenia w górach". Mądre i prawdziwe są to słowa. Jeśli jednak potencjalni kierownicy innych tego typu schronisk będą nazywali turystów "wrzątkami", jeśli w zbudowanych

obiektach nie będą widzieli miejsca dla kuchni turystycznej, jeśli budowa następnych małych schronisk będzie podobna do tej pod Lubaniem /koszt i czas! - jeszcze jedna piękna i mądra teoria załamie się w zderzeniu z praktyką.

God save the mountains!

Jacek K. Ciesielski

#### U POCZĄTKÓW PRZEWODNICTWA GÓRSKIEGO

Nie zamierzam w niniejszym szkicu kreślić zarysu dziejów przewodnictwa w Polsce. Na ten temat sporo już napisano w specjalnych wydawnictwach i również Wierchy /43, 1974/ starały się to zadanie wypełnić. Na tym miejscu chodzi mi o zwyczajne przypomnienie, że upływające w 1975 roku stulecie przewodnictwa, to przede wszystkim stulecie zorganizowanego przewodnictwa górskiego w ramach i dzięki inicjatywie Towarzystwa Tatrzańskiego związanego z Tatrami, a później z Beskidami.

Zorganizowanie przewodników tatrzańskich wyrosło z potrzeby. Wywołał ją coraz bardziej rosnący napływ pod Tatry turystów i letników. Sporo było wśród miejscowej ludności "świadomych tych gór górali", którzy jako myśliwi, poszukiwacze kruszców, ziół i pasterze znali różne przejęcia i przełęcze, doliny i zakątki. Wśród nich - ograniczając się do północnej strony Tatr - dzieje wymieniają m.in. Jana Budza na przełomie XVIII i XIX wieku, później Jana Parę, Józefa Bigosa, Wojciecha Bukowskiego, a z nie-górali Franciszka Kleina, zarządcę huty Homolaców w Kuźnicach, później leśniczego w Bukowinie.

Miały swych polskich przewodników również na przełomie XVIII i XIX wieku Karkonosze, Jerzego Fryderyka Suchodolskiego, a później w pierwszej połowie XIX wieku Jana Gruszczewskiego, Walentego Grzałę i Piotra Fidlera, miały także Beskidy. W 1834 roku wiedzie do źródeł Wisły i na Baranią Górę miejscowy góral Jakub Szarzec Apoloniusza Tomkiewicza, a w 1860 roku na Babią Górę Walerego Eliasza i towarzyszy - Szymon Czarny z Zawoi. Byli również w tym okresie nie zorganizowani jeszcze przewodnicy w Pieninach i Beskidach, towarzysze pionierskich wypraw Pola i Łobarzewskiego, a później huculscy przewodnicy Sofrona Witwickiego po grzbietach Czarnohory.

Pierwszym jednak towarzystwem, które przystąpiło do organizacyjnego ujęcia oprowadzania po górach, czyli "urządzenia służby przewodników", zaopatrzenie ich w legitymacje zwane książeczkami, podziału na klasy według kwalifikacji oraz w odznaki, słynne "blachy" - było Towarzystwo Tatrzańskie, działające w 1875 roku z inicjatywy Leopolda Świerza. W 1876 roku skupiło ono nieliczny lecz pionierski zastęp przewodników, w którym blyszczą nazwiska Macieja Sieczki, Szymona Tatara, Jędrzeja

Wali i Wojciecha Roja. Z zastępu tego miało wyrósć z czasem pokolenie Klimka Bachledy, Jakuba Wawrytki, Jędrzeja Marusarza Jarząbka, Jana Bachledy Tajbra, Józefa Gąsienicy Tomkowego, Stanisława Gąsienicy Byrcyna i ich następców.

O nich wszystkich można powiedzieć to, co w 1858 roku o Jędrzeju Wali napisała Maria Steczkowska: "nie jest to przewodnik idący tylko za pieniądze, dla zarobku, ale raczej towarzysz podróży, najdoskonalej obeznany z miejscowością, a pomimo to szczęśliwy, że mu się nadarza sposobność widzenia znowu tych okolic, których dzika piękność przemawia zrozumiałym dla umysłu jego językiem".

To była rzeczywiście prawda. Niigdy przewodnik był dla turysty - a wówczas każdy przybysz z nizin był początkującym turystą - opiekunem, nauczycielem i towarzyszem, a określenia te mieściły w sobie wszystko, od zapewnienia bezpieczeństwa po gotowanie, noszenie ciężarów i przygotowanie noclegu. Uczył on równocześnie zasad uprawiania turystyki w wysokogórskich warunkach i wedle ówczesnych potrzeb. Ale to jeszcze nie wszystko. Poprzez współżycie i obcowanie na codzień w czasie wycieczki z turystą - a wiemy sami najlepiej o tym czym jest to dla ludzi w górach - do życia i umysłu prowadzonego przez przewodnika "pana z miasta" przenikała góralszczyzna z całym urokiem swej pierwotności współżycia z przyrodą i przywiązaniem do tradycji ludowej. Nie tylko Asnyk uczył się od górala "czuć silniej i lepiej ... dziewczęcą piękność natury". Wraz z serdakiem, ciupagą, wiatrą i bukowymi portkami, które dla przybysza z Warszawy czy Krakowa były zewnętrznym znakiem podtatrzeńskiej egzotyki, odczuwanej często poprzez modę i snobizm - przenikały głębsze treści góralskiej kultury ludowej, które tak bardzo miały zafascynować turystów z czasów Chałubińskiego i pozostawić trwałe ślady w literaturze, m.in. w najpiękniejszej chyba książce o górach, w Witkiewiczowskiej "Na Przełęczy".

Pionierskie pokolenie przewodnickie, wprowadzając przybysza z dolin w góry, otwierało przed nim nie tylko nieznaną a cudowną krainę górskich wtajemniczeń, ale równocześnie przybliżało go do niezwykłych wartości góralskiego ludu.

Jacy to byli ludzie - niech tego będzie przykładem spotkanie z Jędrzejem Marusarzem gdzieś w trzydziestych piątym latach w Pustej Dolince. Podchodziliśmy z żoną ku Zmarzłej Przełęczy i pod skałę zobaczyliśmy siedzącego górala.

- Witajcie! - Cóż to sami tu robicie, Jędrzeju?

- Poglądam se na świat - odpowiedział Marusarz.

I chyba w tym zamknęła się cała honorność i romantyzm dawnych góralskich przewodników.

Władysław Krygowski

## MOJE PIĘCIOTYSIĘCZNIKI AFRYKAŃSKIE

Moja afrykańska przygoda zaczęła się nagle i niespodziewanie. Przypadkowa rozmowa w Skałkach, z której dowiaduję się, że Śląski Klub Wysokogórski organizuje wyprawę w góry Ruwenzori do Afryki Wschodniej. Mają kłopoty z lekarzem. Zgłaszam swoją kandydaturę, ale nie mam szans, bo skład wyprawy jest czysto męski i nie chcą kobiety. Szkoda. Potem jeszcze kilka telefonów, listów i rozmowa z kierownikiem wyprawy, T. Wojterą. Ze względu na rejon działania i plan sportowy - przejście całej granicy Ruwenzori - potrzebują lekarza-alpinisty. Dają mi szansę, jeżeli zaakceptuję w ciągu kilku dni urlop i sprawy dewizowo-paszportowe. Udało się i tak w charakterze lekarza zostaję 13-tym członkiem Śląskiej Wyprawy do Afryki. Zaczyna się kilkumiesięczny okres przygotowań. Ciągłe jeszcze nie bardzo wierzę w to wszystko. Ale 14 I 1975 roku wylatujemy z Warszawy i 16 I lądujemy na lotnisku w Entebbe, koło Kampali, stolicy Ugandy. Jestem w Afryce.

Oczywiście o Afryce można pisać bardzo dużo. O ludziach, zwierzętach, roślinach, górach, gwiazdach... O tym, co przeżyliśmy i co widzieliśmy. Ale chciałabym zatrzymać się tylko na najważniejszym bagażu, jaki stamtąd przywozłam. Wróciłam z kompletem pięciotysięczników afrykańskich. Jest ich siedem - najwyższych gór Czarnego Lądu. Wszystkie znajdują się w tzw. Afryce Wschodniej, która stanowiła rejon działania naszej wyprawy. Trzy na terenie Ugandy w górach Ruwenzori: Margherita, Alexandra i Albert, dwa na terenie Kenii - wierzchołki Mt. Kenya: Nelion i Batian i dwa na terenie Tanzanii - oczywiście w masywie Kilimandżaro - Kibo i Mawenzi. Jestem jedyną Polką, a prawdopodobnie także jedyną kobietą, która zdobyła te wszystkie szczyty.

8 II - wychodzę z Elena Hut z grupą warszawskich glaciologów, działających równocześnie z nami w górach Ruwenzori, najdłuższym na kontynencie afrykańskim paśmie górskim, położonym między jeziorami Edwarda i Alberta na skraju Wielkiego Rowu Afrykańskiego. Już prawie 3 tygodnie mieszkamy powyżej 4 tys. metrów i prowadzimy działalność w "Górach Księżycowych", wśród niespotykanej szaty roślinnej: senecji, lobelii i helichrysum. Ruwenzori, nazwa wprowadzona przez ich odkrywcę Stanleya, oznacza w języku miejscowym "góry tworzące deszcz". Jest to nazwa bardzo trafna, ponieważ leje tutaj przez cały rok. Zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić i nabraliśmy dużej wprawy w chodzeniu po bagnach, które dochodzą do wysokości 4500 m. Tego dnia mamy jednak szczęście. Poranek wita nas wspaniałą pogodą. To jeden z tych nielicznych dni, kiedy można zobaczyć w słońcu "lodowce na Równiku". Może wysłuchało nas dobre Mzimba, któremu za przykładem krajowców warszawiacy składali ofiary z jedzenia made in Poland.

Droga prowadzi rozległym lodowcem Plateau Stanley'a. Coraz stromiej, a jednocześnie coraz bardziej czujemy wysokość. Wychodzimy na filar. Na grani nawiane olbrzymie śnieżne pióropusze. Po 4,5 godziny osiągamy wierzchołek Margherity /5119 m/ w zespole Z. Jaworowski, Z. Krysa, A. Gierych, K. Cielecki i ja. Następnie idziemy z K. Cieleckim łatwą granią na Alberta /5090 m/ i przechodzimy niestety już we mgle travers Margherita - Alexandra /5094 m/ - 1,5 godziny, skala trudności III. Schodzimy południowo-wschodnią granią Alexandry, w skali III/IV. Główną trudnością są liczne śnieżno-lodowe nawisy.

8 III - to chyba najdziwniejszy Dzień Kobiet w moim życiu. O godzinie 4 rano wchodzimy w czwórkowym zespole z M. Bernadtem, J. Chaleckim i M. Kurasiem w ścianę Mt. Kenya. Góra ta to drugi pod względem wysokości wulkaniczny masyw w Afryce, legendarna "Góra Białości" wznosząca się w krainie Kikujów na terenie Kenii. Posiada ona dwa główne wierzchołki: Batian /5199 m/ i Nelion /5183 m/. Górne partie pokryte są lodowcami. Cały atak przeprowadzamy bardzo szybko, systemem alpejskim, bez tragarzy i mułów. Dziś jest trzeci dzień naszej działalności w tym rejonie. Przechodzimy dolny lodowiec Darwina po stopniach przerąbanych poprzedniego dnia. Dalej droga jest skalno-lodowa, trudności IV. Po siedmiu godzinach jesteśmy na przełęczce Gate of the Mists pomiędzy wierzchołkami. Piękną skalną granią osiągamy wierzchołek Batiana, zjazd na przełęczkę i bardzo trudnym stromym lodowcem wychodzimy na Neliona. Zrobiliśmy pierwsze polskie przejście tej drogi. Noc spędzamy na wysokości 5183 m w małej, 4-osobowej metalowej chatce, zbudowanej na wierzchołku Neliona przez Anglika I. Howella. Jest nas 8 osób, ponieważ równocześnie czwórka kolegów weszła na szczyt tą drogą normalną. Cały następny dzień zajmują nam zjazdy, ponieważ na Mt. Kenya nie prowadzi ścieżka turystyczna, a najłatwiejsza droga jest w skali III.

18 III - już trzeci dzień jesteśmy w drodze na Kibo. Podchodzimy na Kilimandżaro - najwyższy w Afryce masyw górski pochodzenia wulkanicznego - od strony południowej, tzw. Umbwe Route. Jako pierwsi Polacy nie wchodzimy wejściem turystycznym z Marangu. Idziemy z pełnym obciążeniem, to znaczy z namiotami szturmowymi, jedzeniem i sprzętem wspinaczkowym, ponieważ po osiągnięciu wierzchołka Kibo planujemy zejście na stronę wschodnią i atak na drugi wierzchołek - Mawenzi. Zbliża się pora deszczowa i codziennie koło południa zaczynają się mgły, chmury i opady deszczu. Sześciuosobowym zespołem: M. Bernadt, J. Chalecki, M. Kuraś, L. Czarnecki, S. Cholewa i ja, wchodzimy na lodowiec Haima o długości 1200 m. Cały dzień wspinamy się lodowcem. Biwakujemy w namiotach na wysokości ok. 5700 m.

19 III - w obłędnym słońcu po trzech godzinach wspinania wchodzimy na najwyższy punkt Kilimandżaro - Uhuru Peak /Pik Wolności/ 5896 m. Jestem na wierzchołku, widzę wewnętrzny krater, pola penitentów, zabieram na pamiątkę kawałki lawy. Niestety nie mamy czasu szukać legendarnego szkieletu lamparta, o którym pisał Hemingway w "Śniegach Kilimandżaro". Przed nami odległy o 12 km w linii prostej - spogląda na nas Mawenzi. Ostatni pięciotysięcznik Afryki, jedyny, na którym do tej pory nie było Polaków. Możemy wejść na niego tylko jutro, ponieważ jedzenia wystarczy nam jeszcze tylko na dwa dni. Czy wytrzyma pogoda? Mawenzi ma opinię trudnej i bardzo kruchej góry, bez możliwości wejścia turystycznego. Czeka nas nie tylko wspinaczka na szczyt, ale także zjazd w dół. Myślę o tym wszystkim, kiedy po zejściu do Kibo Hut idziemy po rozległym siodle pomiędzy wierzchołkami.

20 III - w nocy zrywa się wiatr i szaleje śnieżycy. Śpiemy u stóp góry w Mawenzi Hut. Wstajemy późno, ale ponieważ wypogadza się - decydujemy się na atak. W zespole: M. Kuraś, S. Cholewa, L. Czarnecki i ja stajemy po pięciu godzinach jako pierwsi Polacy na wierzchołku Mawenzi /5149 m/. Po wpisaniu się do książki i zrobieniu obowiązkowych zdjęć szybko zjeżdżamy w dół. Jestem już zmęczona i podczas wspinania gubię okulary lodowcowe. W nocy dostaję zapalenia spojówek. Następnego dnia w załamującej się pogodzie, zegnani deszczem schodzimy do Marangu.

Na zakończenie chciałabym dodać, że w czasie trwania wyprawy zostało dokonane pierwsze całkowite przejście grani Ruwenzori, co było głównym celem sportowym i jest dużym sukcesem alpinistycznym. Wyprawa była bardzo udana, nie miałam poważniejszych kłopotów lekarskich z "moimi chłopcami", przejechaliśmy naszym Starem kilkanaście tysięcy kilometrów, byliśmy w kilku Parkach Narodowych, płynęliśmy łodzią po Nilu, zwiłaliśmy "owoce morza" w Oceanie Indyjskim, spędziliśmy dwa dni w Kairze. Wróciliśmy pełni wrażeń z tykwami, dzidami, bębnami, makondami i setkami kolorowych przeźroczy.

Krystyna Konopka

#### CMENTARZE WOJENNE W BESKIDACH

Wędrując po Beskidzie Niskim i Pogórzu napotykamy często robiące duże wrażenie oryginalną architekturą cmentarze z I wojny światowej. Tylko w Beskidzie Niskim jest ich 54 - stanowią jedną z większych atrakcji turystycznych tego terenu.

Aby odtworzyć ich genezę powstania, cofnijmy się do września 1914 r. Armie rosyjskie rozpoczęły wówczas gigantyczną ofensywę zwaną ope-

racją dęblińsko-warszawską. Odzyskały utraconą wcześniej część Królestwa, a na południu obległy Przemyśl i zaczęły zajmować Galicję Zachodnią. 15 listopada weszły do Gorlic, a później dotarły aż pod Limanową. Był to szczytowy moment powodzenia armii rosyjskich, ofensywa na całym froncie od Płocka po Karpaty zaczęła już zamierać. Prusacy po zaciętej bitwie pod Łodzią zastopowali Rosjan w Królestwie, a Austriacy na początku grudnia wyprowadzili spod Limanowej udane kontrnatarcie, które przesunęły linię frontu aż pod Jasło. Kolejne natarcie Rosjan w końcu grudnia w niewielkim już tylko stopniu zmieniło sytuację i front ustalił się na kilka miesięcy wzdłuż linii od Ciężkowic przez Staszówkę, Łużną, Moszczanicę, Mszańkę, Stróżówkę, Zameczysko, Gorlice, Sokół, Siary, Sękową, Ropicę Górną /zwaną wówczas Ruską/, Małastów, Magurę Małastowską i dalej na południe aż do Bardiowa.

Wojna przybrała charakter pozycyjny, a do dziś w górach znaleźć można ślady umocnień obu walczących stron. Były to głównie oszalowane i mocno rozbudowane okopy. Front ten utrzymywał się przez 126 dni, aż do 2 maja 1915 roku. W tym czasie dalej na wschód Rosjanie atakowali przełęcz karpackie /Użocką, Łupkowską i Dukielską/, chcąc przedostać się na Nizinę Węgierską, zaś ich wojska zgrupowane na interesującym nas odcinku miały za zadanie jedynie osłanianie od zachodu tych operacji. Austriacy dwukrotnie /lutym i marcem 1915/ usiłowali przejść do natarcia, aby odciążyć obleżoną twierdzę Przemyśl i zagrożony front karpacki. Oba te natarcia poprowadzone w okolicach Rychwałdu /dziś Owczary/ zakończyły się fiaskiem.

Po upadku Przemyśla 21 marca sytuacja stawała się dla Austriaków coraz mniej ciekawa. Rosjanie przerzucili potężną armię, która oblegała Przemyśl, na linię frontu i mogli rozpocząć kolejną ofensywę. Strona austriacko-pruska rozpoczęła więc koncentrację, aby w wielkiej bitwie górskiej przeważać szalę na swoją korzyść. Wojsko ściągnięte z frontu zachodniego. Główną siłą uderzeniową miała stanowić 11 armia niemiecka generała von Mackensena /130 tys. ludzi/ rozlokowana na odcinku frontu od Ropicy Ruskiej przez Gorlice po Rzeplennik Biskupi /32,5 km/. Na jej prawym skrzydle zajął stanowiska X korpus 3 armii austriackiej generała Boroewiča /28 tys. ludzi/, zaś na lewym /po Zakliczyn/ zgrupowanie pod dowództwem arcyksięcia Józefa Ferdynanda /60 tys. ludzi/.

2 maja 1915 roku od Tuchowa na Pogórze aż po Wysową w Beskidzie Niskim ruszyło do natarcia 217 tys. żołnierzy pruskich i austriackich wspomaganych ogniem 1045 dział, 70 moździerzy i 233 karabinów maszynowych. Pozycje rosyjskich broniły siły obliczane na ok. 70 - 80 tys. ludzi i jedynie 200 dział. Rozpoczęła się walka zwana później bitwą pod Gorlicami. Wynik jej /gdy porównamy siły obu stron/ był z góry

przesądzony, ale w ciężkim górskim terenie, łatwym z natury do obrony, doszło do zaciętych walk. Pod wieloma względami była to najbardziej "nowoczesna" czyli najbardziej niszcząca bitwa świata. Teoretycy wojskowości twierdzili wówczas, że niemożliwe jest większe nasycenie linii frontu artylerią, niż to miało miejsce pod Gorlicami. Nie przewidzieli, że po pierwszej wojnie przyjdzie druga, jeszcze straszniejsza, jeszcze bardziej "nowoczesna".

Kłęka sił rosyjskich, odwrót na linię Dniestr - San, zadecydowały o losach całego frontu wschodniego w I wojnie światowej, rozpoczęły serię klęsk rosyjskich, które z kolei przyczyniły się do osłabienia i kompromitacji caratu i tym samym przygotowały grunt pod zwycięstwo Rewolucji Październikowej.

Przyjrzyjmy się teraz dokładniej wojskom walczącym w 1915 roku pod Gorlicami. 12 austriacka dywizja piechoty składała się z Polaków. W walkach szczególne straty poniosły dwa pułki: wadowicki i cieszyński. 2 pruska dywizja gwardii wywodziła się z poznańskiego, nawet oficerowie byli tu po części Polakami. Na Pogórze walczyli legionści z Pierwszej Brygady. Po stronie rosyjskiej zaś część wojsk stanowili rekruci mobilizowani w Królestwie. Bitwa pod Gorlicami nie może więc być traktowana przez nas obojętnie. Polskie nazwiska na tabliczkach cmentarnych zmuszają do zastanowienia.

Gdy odgłosy walk stopniowo cichły przesuwając się na wschód, na pobojowiskach /głównie tuż przy już opisywanej linii frontu/ pozostało ok. 20 tys. zabitych i 75 tys. rannych żołnierzy ze wszystkich armii. Tak wielka ilość ciał leżących na polach groziła wybuchem epidemii, dlatego też władze wojskowe powołały już w maju 1915 roku tzw. Kiegsgraberabteilung zajmujący się oczyszczaniem pobojowisk, instalowaniem tożsamości zwłok, ewidencją pogrzebanych oraz pracami przy budowie aż 86 cmentarzy. Budowę ich prowadzono jednocześnie w całej Małopolsce Wschodniej. Utworzono 10 okręgów cmentarnych obejmujących obszar od Żmigrodu po Limanową i Szczuacin k. Tarnowa. Projekty cmentarzy wykonali architekci przydzieleni do danego terenu, chyba że chodziło o jakieś słynne pobojowisko /Gorlice, Pustki/, wówczas urządzano konkursy na pomniki oraz ich otoczenie. Stosunkowo szybko dopracowano się stereotypu takiego cmentarza i przeważnie wyglądał on następująco: plan prostokąta, ogrodzony kamiennym murem z żelazną bramką. W środku rzędy grobów z żelaznymi krzyżami.

Szczególnie wyróżnili się dwaj architekci budujący cmentarze. Jednym z nich był Dušan Jurkowič - serbski architekt w mundurze austriackim, kierownik robót w okręgu żmigrodzkim. Projekty jego nawiązują do tzw. stylu starosłowiańskiego. Architektura ich jest drewniana z niedużym dodatkiem kamienia. Jego dziełem są m.in. cmentarze na

Magurze Małastowskiej, Przełęcz Małastowskiej, Rotundzie czy Beskidku. Każdy z nich jest ogrodzony jodłowym płotem nakrytym dwuspadowym daszkiem gontowym. Na mogiłach dużo drewnianych krzyży. Przy tylnej ścianie kapliczka albo kilkunastomatrowa wieża. W przypadku Rotundy - cztery wieże w narożnikach, piąta najwyższa pośrodku. Obecnie wszystkie są bardzo zniszczone, jedna zwalona, najwyższa bez górnej części.

Drugim architektem był Hans Mayer, projektant okręgu gorlickiego. Jego cmentarze przytłaczają swą monumentalnością, są "ciężkie", wywołują przygnębienie. Kamienne ogrodzenie, kamienne płyty w formie daszków, kamienne monumentalne ściany frontowe i pylony w narożnikach. Te ostatnie widoczne były z daleka i np w przypadku Staszkówki wskazywały drogę z odległości kilkunastu kilometrów. Takie właśnie cmentarze są w Małastowie czy Sękowej.

Johann Jäger, kierownik okręgu jasielskiego, wpadł na bardzo oryginalny pomysł. Na wzgórzu Wałachy koło Ciekłina znalazł on groby zbiorowe. Postanowił nie rozkopywać mogił. Obmurował je, a następnie połączył czterokilometrową ścieżką. Miejsce, gdzie są groby, sygnalizuje kaplica z wieżą postawiona na skraju lasu.

Największym i najczęściej opisywanym jest cmentarz na górze Pustki /nad Łużną/, gdzie był główny punkt oporu Rosjan. Według innych danych zaś najwięcej poległych spoczywa w Sękowej na cmentarzu znajdującym się na tzw Postroniu /stoki góry Zamczyako/. Do najbardziej znanych należą wspomniane już cmentarze koło Ciekłina, na Rotundzie, na Przełęcz Małastowskiej, w Staszówce, cmentarz na Górze Cmentarnej w Gorlicach otoczony kamiennym murem z bramą i aleją wiodącą do monumentalnego pomnika, czy również kamienny cmentarz naprzeciwko fary w Bieczu.

W Gorlicach i ich najbliższym otoczeniu /5 - 6 km/ można znaleźć 10 cmentarzy, przy drodze Ropica - Sękowa jest ich aż 7. Tylko w Beskidzie Niskim są 54 cmentarze, a na całym obszarze objętym działaniami wojennymi związanymi z przełamaniem frontu w rejonie Gorlic - aż 86. Zwraca uwagę wielka różnorodność położenia, kształtu i koncepcji artystycznej cmentarzy. Niektóre z nich położone są na szczytach /Wysota, Rotunda, Magura Małastowska/, inne na przełęczach. Większość to cmentarze samodzielne, ale niektóre stanowią część miejscowego, starszego cmentarza. Tak jest np w Szymbarku i Uściu Gorlickim. Niektóre są trudne do odszukania /Bartne, Magura Małastowska/, inne znajdują się tuż przy drogach, np przy drodze Gorlice - Zagórzany, przed skrzyżowaniem dróg na stację kolejową i do Kobyłanki. Dokładnie da się odróżnić cmentarze prusko-austriackie od rosyjskich, te ostatnie mają bowiem podwójne krzyże nawiązujące do prawosławnych.

Dokładniejszy przegląd całości zajęcia niestety zbyt wiele miejsca. Zachęcam tylko do odwiedzenia Beskidu Niskiego i to możliwie szybko, gdyż stan zachowania omawianych cmentarzy jest z reguły zły. Wpłynęło na to głównie wyludnienie terenu po ostatniej wojnie i brak zainteresowania władz terenowych. Do pozytywnych wyjątków należą np cmentarze w Bieczu i w Binczarowej k. Grybowa, które znalazły opiekunów. Obiekty kamienne czy też żelazne trzymają się na ogół nieźle, gorzej jest z drewnianymi, a zwłaszcza z tymi bardziej odległymi od siedzib ludzkich. Cmentarz położony tuż pod szczytem Magury Małastowskiej zarósł dziś zupełnie lasem, widoczne są jeszcze groby, kamienne ogrodzenie, ale wszystkie drewniane krzyże, przegniłe próchniejąc leżą na ziemi. Cmentarz ten zniszczony został po prostu przez czas, ale np w Ropicy Górnej napotkałem kiedyś niewielki cmentarzyk wojenny wykorzystywany przez gospodarza jako pasieka. Przewodniki turystyczne opisując aktualny stan tych cmentarzy operują najczęściej zwrotami: "zaniedbany, opuszczony, zarosnięty lasem, trudny do odszukania w gęstwinie leśnej" itp. A przecież są one często odwiedzane przez turystów, stanowią jedną z atrakcji tego terenu obok pięknej dziczyńskiej przyrody górskiej i drewnianych cerkwi. Niektóre z nich zniknęły bez śladu, np cmentarz w Gorlicach przy ul. Krakowskiej, zlikwidowany kilka lat temu przy budowie osiedla mieszkaniowego.

Apelując o opiekę nad tymi cmentarzami trzeba zdać sobie sprawę, jak trudno je zaszufładować. Są niewątpliwie dziełami sztuki, ale jakże trudnymi do oceny. O ileż łatwiej jest ocenić wartości artystyczne architektury, rzeźby czy malarstwa. Rozdziału "cmentarze wojenne" podręczniki historii sztuki nie przewodziły. Dyskusyjne ze względu na rok powstania są ich wartości zabytkowe. Ostatnio zaczęto zauważać i uznawać za zabytki np secesyjne kamienice z początków XX wieku czy też pochodzące z tego samego okresu zabudowania uzdrowiskowe Nałęczowa. Zabytkami są już niektóre obiekty architektury drewnianej z okresu I wojny. Można by więc uznać omawiane cmentarze za zabytki, tak jak np zabytkami /techniki/ są stare wiatraki, fabryki czy młyny. To porównanie nie jest zbyt szczęśliwe, ale pokazuje, jak daleko już odeszliśmy od tradycyjnego pojęcia zabytku i oprócz zabytków architektury uwzględniamy już zabytki techniki czy np. inżynierskiej sztuki wojennej.

Cmentarze te są wreszcie pomnikami zmagania wojennych, które zdecydowały m.in. o niepodległości Polski. W pewnym sensie są także pomnikami martyrologii narodu polskiego i innych narodów słowiańskich. Zbyt wiele widnieje na nich polskich nazwisk, abyśmy mogli przejść koło nich obojętnie. Przesłania nam wzrok niemiecka pisownia na tab-

liczkach omentarnych, nazwy pruskich czy austriackich regimentów, ale przecież w mogiłkach tych spoczywają Polacy, a los ich jest tym bardziej tragiczny, że ginęli często z ręki Polaków walczących w armii przeciwnika.

Przemysław Pilich

#### MAJARZ BESKIDU NISKIEGO

Podczas Zlotu Czesankowców w Beskidzie Niskim w 1973 roku i podczas naszych późniejszych wędrówek zwiedzaliśmy muzeum regionalne w Gorlicach oraz prywatne zbiory kultury Żemkowskiej mgr Pawła Stefanowskiego w Bielance k. Szymbarku. W obu tych muzeach podziwialiśmy piękne akwarele przedstawiające Żemkowskie cerkiewki wspaniale wkomponowane w krajobraz Beskidu Niskiego.

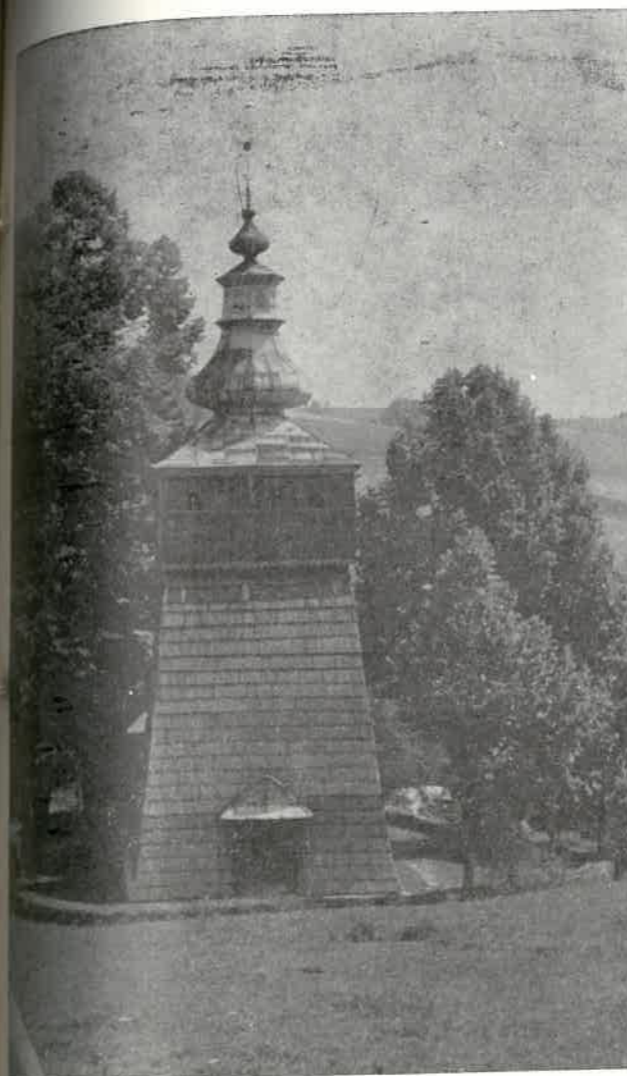
Obrazy te są dziełem malarza amatora, mieszkańca Libuszy /wieś między Gorlicami a Bieczem/, Stanisława Hübnera. Jego malarstwo jest wynikiem wielkiego umiłowania Beskidu Niskiego z jego dzikimi ostępami, wspaniałymi lasami i pozostałościami starego budownictwa wiejskiego i cerkiewnego. Stało się życiową pasją, której poświęca każdą wolną chwilę.

Ody po obejrzeniu prac Stanisława Hübnera wędrowaliśmy szlakami Beskidu Niskiego, stwierdziliśmy ich realizm uwieczniony na płótnie czy kartonie ręką artysty. Tym cenniejszy jest to realizm, że wiele malowanych przez Hübnera obiektów już nie istnieje i znamy je teraz z jego prac, on zaś odtwarzał je ze starych fotografii czy własnej znakomitej pamięci.

Prace Stanisława Hübnera znane są szeroko z licznych wystaw organizowanych w kraju i za granicą. Zachwycają każdego i każdą wręcz w Beskid Niski, w jeszcze i oby jak najdłuższej ciche zakątku, w świat nie skażony cywilizacją, z zachowaną nieomal pierwotną przyrodą, w świat niezapomnianych przeżyć. A jeśli ktoś znajdzie się tam po raz pierwszy - niech koniecznie zwiedzi muzeum w Gorlicach i zbiory w Bielance. Naprawdę warto.

Leon Hendzel

Koło PTTK nr 35 przy Zjednoczeniu  
Przemysłu Papierniczego w Łodzi



(Beskid Niski)  
Cerkiewka w Wojkowej

fot. Rafał Kamiński



„... gdzieś przy drodze zakwitło ognisko...”

fot. Rafał Kamiński

### KOLEZANKI MOJE

Nuto i ty gwaro, towarzyski obie  
Jo wos nieponiechom jas se bede w grobie.  
Wyście mi nomiylse kolezanki w zyciu  
Przyskyscie se kummie kie jo był w powiciu.

Nute mi śpiyważy potoki ot Tater  
Niós jom ku kołysce holny z regli wiater  
A gware zaś wykuż Oreż hań na skale  
Wpojali mi w serce Tata z Mamom stale.

Tyn Oreż nas co jest Polski Godžo  
Przesło tyśiąc roków nos Poloków wiedžo  
Idziecie razem w świat nie wstyđ wom śnim nika  
Gwaro śpiyw i toniec góralsko muzyka.

Franek Hodorowicz

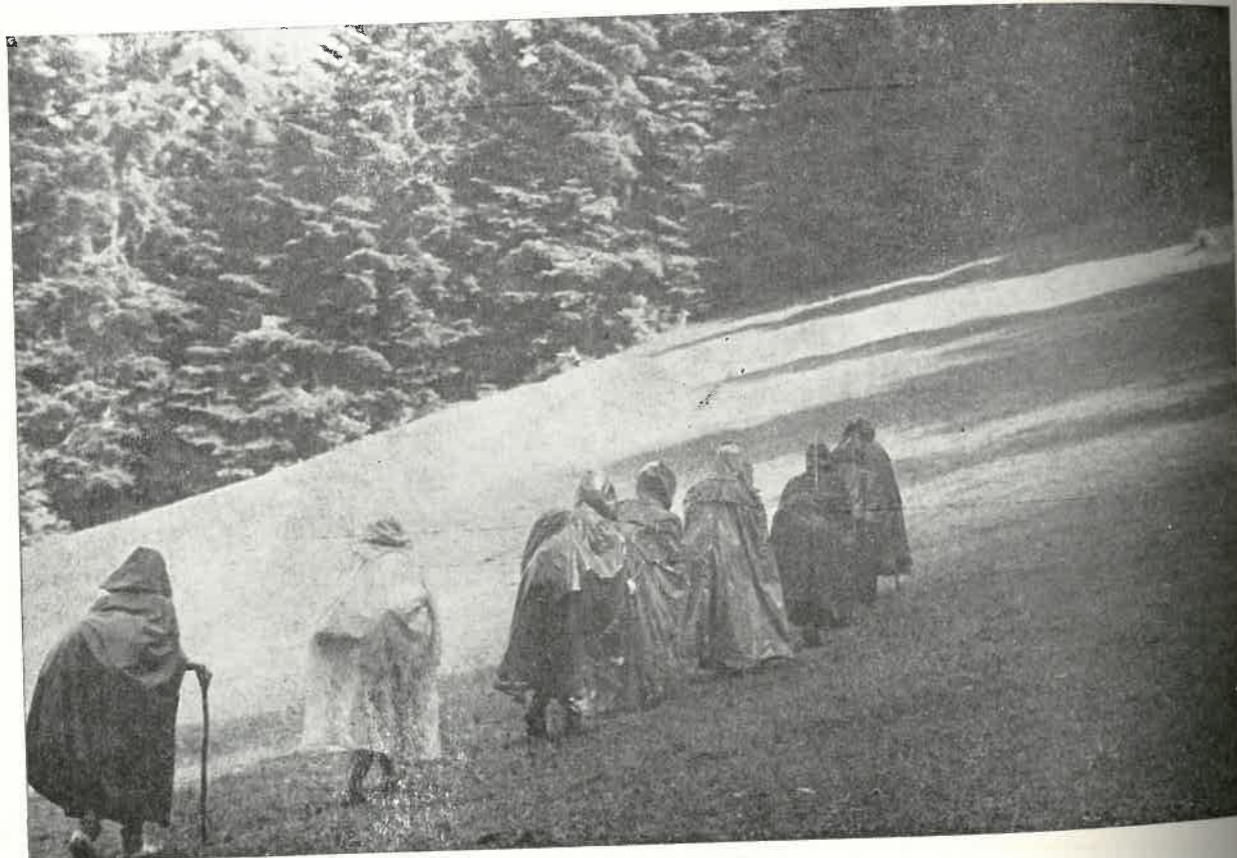
### NOWY SZYLD CZY ZERWANIE Z TRADYCJĄ

Będąc ostatnio przejazdem w Krakowie szedłem przez Plac Wiosny Ludów. Od lat przyzwyczajony, że na fasadzie domu pod numerem 8 widnieją tablice: "Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Zarząd Główny Komisja Turystyki Górskiej" i druga "Komisja Turystyki Narciarskiej", ujrzałem, że tych tablic już nie ma. Na ich miejscu widnieją nowe: "Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Zarząd Główny Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej i Narciarskiej". Nie wszedłem do środka, nie zapytałem, gdzie teraz mieszczą się obie te Komisje. Wiem, że jeszcze istnieją - jak długo jeszcze? - dlatego nie chciałem usłyszeć, że nie są już one godne osobnych tablic przed wejściem do budynku, w którym mieściły się od początku istnienia; do budynku, w którym najwyższa władza górskiej turystyki mieszkała się na wiele lat przed powstaniem PTTK.

Zadałem sobie natomiast pytanie: czy zerwanie tych tablic nie jest przypadkiem symbolem rangi statutowych Komisji naszego Towarzystwa wobec nowopowołanego biura i czy tradycja nazwy oraz pamięć osiągnięć nie upoważniają do pozostawienia tamtych tablic obok tej nowej?

Tablica była tylko kawałkiem pomalowanej na zielono z białym napisem blachy. Jakże wiele jednak ona symbolizowała...

Jacek K. Ciesielski



„Peleryny” w Pieninach

fot. Adolf Duszek

### SAGA O ŁÓDZKIM GÓRALU

Posiada Łódź we własnym regionie swoje "góry", takie jak: Kania Góra, Rudzka Góra, Starowa Góra, Tkaczewska Góra, Wiśniowa Góra, Zielona Góra. W granicach miasta znajduje się również wiele ulic o "górskich" nazwach /patrz Biuletyn nr VIII/DK - 74/. Mamy też w Łodzi swojego własnego górala, w niszy na fasadzie domu przy ul. Piotrkowskiej 292. Jak mówi żartobliwe porzekadło - "Główną Łodzian troską wszystko zmieścić na Piotrkowską", to i góral też tutaj koniecznie musiał się znaleźć. Skąd on się jednak tam wziął? Z sumiastym, okazałym wąsem? To retoryczne niejednokrotnie pytanie zadaje sobie tysiące przechodniów, mieszkańców naszego miasta i przybyszów, zaciekawionych tą statuą w góralskim stroju i takimże kapeluszu. Wielu ciekawskich dało się już nabrać na trywialny żarcik dotyczący bliżej określonego celu, dla którego to raz do roku rzekomo bywa on ze swej wysokości zdejmowany.

Natomiast saga o łódzkim góralu jest dość prozaiczna, mniej więcej taka...

Jan Ludwik Starowicz, będąc wieloletnim dyrektorem administracyjnym w Zakładach Przędzalniczych Leonhardt, Woelker i Girbardt, otrzymał w darze od współwłaściciela tej firmy Ernesta Leonhardta parcelę budowlaną nr 292 przy ul. Piotrkowskiej, a w 1909 roku zezwolenie z Urzędu Budowlanego Gubernii Piotrkowskiej na budowę trzypiętrowego domu mieszkalnego z oficyną i budynkami gospodarczymi. Projektodawcą i architektem tej posesji był inżynier Leon Lubotyński, z kierunku inżynierii drogowo-mostowej, nie budowlanej. Mimo to projekt został zaakceptowany do budowy przez Starowicza, jak również zatwierdzony przez władze budowlane do wykonawstwa. Należy jednak wspomnieć i o tym, że plan był montowany zgodnie z wyraźnie ukierunkowanymi sugestiami właściciela. I tu dochodzimy do sedna sprawy, jak nieraz zdarzenia o charakterze ogólnym mają wpływ na decyzje osobiste.

W zasadzie gdyby nie strajk szkolny młodzieży w 1905 roku /solidarnościowy/, podmiot naszego zainteresowania - Starowicza dom "pod góralem" - byłby dość wierną odbitką wznoszonych w tym okresie na kopy nowych domów w Łodzi. Jan Starowicz został zmuszony po tym strajku szkolnym umieścić swoich czworo dzieci w szkołach krakowskich. Często je tam odwiedzał, często też z nimi wyjeżdżał do niedaleko już położonego, a tak naonczas modnego Zakopanego. Zakopane w tym czasie było, jak wiadomo, nie tylko popularną miejscowością turystyczno-wypoczynkową i uzdrowiskową, lecz również znaczącym ośrodkiem naszej kultury. Gdzie "na codzień" spotkać było mżna przechadzających się tutaj między innymi Mieczysław Karłowicza,

Jana Kasprowicza, Władysława Orkana, Kazimierza Przerwę Tetmajera, Stanisława Witkiewicza czy też Stefana Żeromskiego.

Jan Starowicz wielce sobie upodobał ludowe budownictwo góralskie i dał temu dobitny wyraz we wzniesionej dla siebie kamienicy. Dom przy ulicy Piotrkowskiej 292 albo też dom "pod góralem", jak go miejscowi obecnie nazywają, miał zarówno na fasadzie frontowej, jak i w urządzeniu wnętrza wiele cech pseudogóralskich, które niestety coraz bardziej zanikały wraz z każdym kolejnym remontem.

Żelazna, kuta brama uliczna zdobiona była motywami góralskimi. W sieni wejściowej ściany miały malowane plenery tatrzańskie, natomiast na klatce schodowej i w korytarzach znajdowały się popiersia naszych wielkich ludzi kultury.

Nie można tutaj nie wspomnieć o osobistych zamiłowaniach Jana Starowicza, którym poświęcał dużo starań i czasu. Tym wielkim hobby, jego pasją, była straż ogniowa, a konkretnie VII Oddział Straży Ogniowej, którego był założycielem, komendantem i instruktorem. Tak - instruktorem! Dzięki niemu ten oddział był świetnie wyposażony, bardzo sprawny i służyli w nim tylko sami Polacy, obowiązywała również komenda tylko w języku polskim. Gdy Jan Starowicz zmarł w 1923 roku, na własne życzenie pochowany został w mundurze strażackim, a w uroczystościach pogrzebowych wzięły udział delegacje straży ogniowej z całej bez mała Polski. Starowicz wedle ówczesnej mody nosił duże, czarne wąsy. I takie zostały odtworzone po nim na twarzy statuy górala. Jedyna to bliżej zauważalna pozostałość z osobowości tego ciekawego i chyba zasłużonego dla Łodzi, dla miasta, człowieka.

Dom "pod góralem" zapisał się natomiast w historii miasta i społeczności tym, że już przez sześćdziesiąt jeden lat - od 11 lutego 1914 roku - znajduje się w nim pierwszy w Łodzi Spółdzielczy Sklep Stowarzyszenia Społczywców, o czym głosi umieszczona na frontowej fasadzie kamienicy pamiątkowa tablica ufundowana przez Powszechną Spółdzielnię Społczywców w 50-lecie tego wydarzenia, 14 lutego 1964 roku.

Dom "pod góralem" jest dziś dość dobrze zadbany. Niestety, z bogatej ornamentyki zakopiańsko-góralskiej pozostały do dziś jedynie motywy promieni na balkonach II piętra. No i ten góral z wąsami a la Jan Starowicz, budzący powszechne zaciekawienie zarówno mieszkańców Łodzi, jak i wszystkich przybywających z wizytą do naszego miasta.

Jerzy Klamann

Źródła: Edmund Adam Jarzyński - "Tajemnice Starych Kamienic"

## ROZDZIAŁ I

Jaka? Czyja? Jubileusz? Żadna z tych rzeczy, a jednak rocznica i to nie byle jaka - bo 20-lecie pierwszej większej powojennej wyprawy "Łódzkich górali" w Bieszczady i Beskid Niski - w góry, które wówczas dostępne były tylko wytrawnym i śmiałym łazikiem nie bojącym się trudów wielogodzinnych wędrówek, spania byle gdzie, wilków, żmij, min pozostałych z walk okresu wojennego i powojennego oraz wielu innych okropnych rzeczy odstraszać wóczas wielu turystów, a przede wszystkim wycieczki zorganizowane.

Jak doszło do naszej wyprawy? W 1954 roku dwie nieustraszone osoby, tj Gienia Lichocińska i Zdzisiek Braun, cichutko - jakby obawiając się, że wędrówka skończy się w połowie drogi - wyruszyły na szlak. Po powrocie opowiadano cuda, że tylko dla bardzo wprawnych, że cudna i nigdzie nie spotykana przyroda i że w ogóle wspaniale, ale tylko dla naprawdę dobrze zaawansowanych i doświadczonych łazików. Zarazem bakcylem tajemniczych Bieszczadów postanowiliśmy /my, tj ówczesny aktyw Komisji Turystyki Górskiej/ namówić jeszcze parę osób i w 1955 roku wspólnie wyruszyć. Wiądomo - w kupie raźniej i weselej.

W dniu 11 czerwca 1955 roku wyruszaliśmy ufnie w powodzenie i zaopatrzeni w sprzęt na owe czasy najwspanialszy, na jaki nas było stać, który składał się z plecaków pamiętających I wojnę /jak się w nich wszystko pomieściło, jest dla nas do dziś tajemnicą/ i butów - w większości trampek, o które też nie było łatwo. Wyruszaliśmy pod wodzą "Harszta"/Gieni Lichocińskiej/ i Zdzisława Brauna, którzy rok wcześniej przeszli cały szlak wschodniobeskidzki. Udział w tej pierwszej powojennej wyprawie wzięli, oprócz wymienionych: Tadeusz Bojanowski, Waldemar Doniec, Anna Grajewska z mężem ze Skierniewic, Janina Górna /obecnie Bojanowska/, Leon Hendzel, Tadeusz Kiełbasiński, Jerzy Klamann, Henryk P. Klimkiewicz, Ada Potocka i jeszcze jedna osoba płci żeńskiej, której niestety nikt z imienia i nazwiska już nie pamięta. Po drodze dwie osoby zrezygnowały z dalszej wędrówki, pozostała jedenastka dotrwała do końca osiągając Halicz i Ustrzyki Dolne.

Ze względu na braki w wyposażeniu /namioty, śpiwory/ odcinki dzienne były troszkę, jak to się mówi, przydługie, bo wymagały przejścia od jakiegoś takiego noclegu do następnej miejscowości, gdzie pozostał ślad ludzki w postaci niejednokrotnie jednej jedynej zamieszkałej chałupy.

Trasa ośmiiodniowej /11 - 18 czerwca 1955 roku/ wędrówki prowadziła ze Stróż przez Szymbark - Banicę - Bartne - Magurę Wątkowską -

Świerżowę - Kamień - Kąty - Polany - Hyrowa - Nową Wieś - Cergową - Iwonicz Zdrój - Dział - Rymanów Zdrój - Tarnawkę - Puławy - Skibce - Tokarnię - Jawornik - Komańcze - Prełuki - Duszatyn - Chryszczatą - Jaworne - Cisnę - Kalnicę - Smerek - Połoninę Wetlińską - Berek Górny - Połoninę Caryńską - Ustrzyki Górne - dolinę Terebowca - Szeroki Wierch - Tarnicę - Halicz i z powrotem tą samą drogą do Ustrzyk Górnych, a ostatniego dnia przez Stuposiany i Lutowiska do Ustrzyk Dolnych. Dla zobrazowania długości dziennych odcinków trasy podkreśliłem miejscowości, gdzie udawało nam się zdobyć nocleg. A ostatni dzień to też piesza wędrówka, bo na całej długości 50 km z Ustrzyk Górnych do Dolnych nie było drogi nadającej się do jakiejś takiej komunikacji. Nawet posterunek WOP w Ustrzykach Górnych zaopatrywany był transportem konnym i to tylko wtedy, gdy nie padał deszcz, bo po deszczu niektóre odcinki były zupełnie nieprzejezdne.

Była to rzeczywiście pionierska droga prowadząca przez wsie, w których nikt nie mieszkał lub wsie, które istniały tylko na mapie. Po drodze spotykaliśmy liczne ślady nie tak odległych walk w postaci nie tylko opuszczonych lub zmiecionych z powierzchni ziemi wsi, ale również sprzętu wojakowego /np w Berehach Górnych stał spalony czołg/ i czaszek oraz kości ludzkich.

Wspaniała przyroda, dzikość gór i ich inność w stosunku do już poznanych oraz posmak wielkiej przygody wzbudziło w nas zachwyt nad Bieszczadami i Beskidem Niskim. Toteż po powrocie do Łodzi zachęcaliśmy każdego do odwiedzenia tych pięknych terenów, do których na przestrzeni 20 lat zaglądamy bardzo często będąc w dalszym ciągu wiernymi miłośnikami tej części naszych gór.

W 20-lecie tej pierwszej większej wyprawy grupa 10 osób z Koła PTK nr 35 przy Zjednoczeniu Przemysłu Papierniczego przeszła tym samym szlakiem, z tym że odcinki dzienne były krótsze, bo i możliwości noclegowe są inne niż dawniej. A może staliśmy się wygodniejsi po tych dwudziestu latach dzielących nas od pierwszej bieszczadzkiej wędrówki?

Bieszczady i Beskid Niski zmieniły się w ciągu tych lat. Weszło do nich nowe życie, odbudowane zniszczone wsie. Szkoda tylko, że nowe budownictwo nie posiada jakiegoś charakterystycznego dla tamtego terenu stylu.

Dla turystów górskich poszukujących jeszcze spokoju, niewydeptanych ścieżek i dzikich ostępów - możemy dzisiaj polecieć tylko Beskid Niski, który jest na pewno jedyną w naszych górach oazą ciszy, gdzie można spotkać na trasach turystycznych nielicznych prawdziwych łazików górskich zakochanych jak my w pięknej i dzikiej przyrodzie.

Leon Hendzel

" W I E R C H Y "

ROK CZTERDZIESTY TRZECI - 1974

Otrzymaliśmy kolejny tom monumentalnego i unikalnego w skali światowej wydawnictwa. "Wierchy" od lat imponują nie tylko długowiecznością, ale przede wszystkim wysokim poziomem zamieszczanych prac. Chwała za to Komitetowi Redakcyjnemu i wszystkim Autorom.

Nie będę omawiał wszystkich artykułów, odnotowuję jednak wszystkie:

1. Roman Peretiatkowicz - "Rozmyślenia przy podchodzeniu"
2. Jacek Kolbuszewski - "Tatry w poezji polskiej 1918 - 1939"
3. Władysław Krygowski - "Spójrz jak śniegiem błyszczą Sorakte"
4. Tadeusz Piotrowski - "Szkłana Góra"
5. Józef Szaflarski - "Z dawnej kartografii Karkonoszy"
6. Jerzy Kolankowski - "Od Baraniej Góry do Białej Góry"
7. Józef Ciągwa - "Ludovit Štur a Tatry"
8. Władysław Dynak - "Sudecki epizod amerykańskiego dyplomaty"
9. Józef Dużyk - "Tatrzańskie wędrówki Ludwika Antoniego Birkenmajera"
10. Andrzej Krasieński - "Zwiad turystyczny w Karpatach Południowych"
11. Tomasz Nowalnicki - "Jeziora Gorców i pasma Lubania"
12. Feliks Jelonek - "Rola rodziny Homolaców w poznaniu Tatr"
13. Jan Zembaty - "Rozwój budownictwa w Białce Tatrzańskiej"

oraz tradycyjnie przebogata Kronika i jak zawsze znakomity dobór i poziom ilustracji.

Szczególną uwagę chciałbym zwrócić na dwa artykuły.

Doc dr Roman Peretiatkowicz w artykule "Rozmyślenia przy podchodzeniu" zajmuje się sprawą ruchu turystycznego w górach, a ściślej - rozważa możliwości powstrzymania masowych wyjazdów w góry ludzi, którzy wcale nie muszą się tam znaleźć. Autor stawia pytanie: czy naprawdę każdy powinien jeździć w góry? Odpowiedź jest jednoznaczna - że nie każdy - ale tę prawdę rozumieją ludzie związani w jakimś stopniu z górami, zaś nie rozumieją jej w większości przypadków organizatorzy masowego wypoczynku. Peretiatkowicz pisze: "ostatni dzwonek, by zmienić radykalnie koncepcję wypoczynku niedzielnego" i podaje koncepcję słuszną i realną, choć nienową /niestety nienową, bo gdyby zaczęto ją realizować sporo lat temu, nie doszłoby do sytuacji, kiedy góry "pękają w szwach"/, mianowicie koncepcję "barier przechwytyjących" ruch wyjazdów świątecznych do rejonów górskich. Chodzi o stworzenie "zmyślnej sieci atrakcyjnych ośrodków wypoczynku świątecznego przyciągających po drodze. Mamy już dobry przykład Zarabia w Myślenicach... Takich barier na drodze do Tatr trzeba nam parę. Nie zatrzyma jedna, to może druga akusi". Podobne "pułapki" proponuje Autor ustawić także na drodze w Beskidy. Jak pisze: "program to obszerny, lecz - jak sądzę - jedyna

to droga, by zahamować lawinowy i nadmierny ruch niedzielny do Tatr, choć nie do Tatr on wiedzie zazwyczaj, kończąc się na zakopiańskich ulicach. Trzeba wreszcie zachować niektóre partie naszych gór dla turystyki kwalifikowanej". "Dla kogoż więc góry?" - pyta Autor - i odpowiada zaraz: "chyba dla turystów kwalifikowanych, dla górskich łazików, bo im się to należy, bo od nich zależy kultura turystyki w górach. Ale góry są także dla tych, którzy w góry jadą spędzać urlopy, bo należy im się spora porcja zdrowia i zastrzyk sił niezbędnych do pracy po powrocie do domu. Jasne, że wykluczyć z tego grona nie można tych, co i w trakcie krótkich wycieczek krajoznawczych chcą zwiedzić najpiękniejsze okolice naszej ojczyzny. Jednakże wypoczynek świąteczny można organizować i poza górami".

W jednym z przypisów Autor - Dyrektor Pracowni Krakowskiej Instytutu Turystyki - pisze, że koncepcja ta została w połowie 1973 roku zgłoszona Generalnemu Projektantowi Planu Perspektywicznego Makroregionu Południowego i w zasadzie została przyjęta. Należałoby życzyć wszystkim zainteresowanym, aby jak najszybciej była realizowana.

Drugi artykuł, na który chciałbym zwrócić uwagę, wyszedł spod pióra mgr Władysława Krygowskiego. "Spójrz jak śniegiem błyszczą Sorakte" to kolejny odcinek wspomnień o dawno minionych czasach świetności naszej turystyki, tym razem zimowej. Pod mistrzowskim piórem Krygowskiego ożywają dni, kiedy to narciarstwo było częścią składową turystyki, a nie sportu, kiedy nie było "pędzlowaniem" przy wyciągach, bo góry nie były jeszcze zeszpecone wyciągami i kolejkami. Pisze Autor: "Nie ma także w górach wędrujących z plecakiem turystów, a przecież byli. Ich dzień górski składał się z ustawicznych zmian w podejściach i zjazdach. W zjeździe wypoczywało się po dłuższym podejściu, które było ceną przyjemności zjazdu po podejściu... Nart nie zdejmowało się po drodze, chyba gdy wypadł zaciszny posizek w szałasie lub schronisku..."

Jak zwykle wysnuwa Krygowski z tych wspomnień uogólnienia "na dziś", na pozór proste i oczywiste, lecz jakże mało rozumiane... Pisze: "Im bardziej życie ludzkie staje się wygodne w następstwie ogólnego wzrostu mechanizacji, tym bardziej staje się naglający powrót do pełnego życia w przyrodzie, której jesteśmy częścią, a nie antagonistą. Wielkim błędem ludzkości, który zemści się na niej dotkliwie, jest zapoznawanie tej prawdy. Walcząc z przyrodą łamiemy jej naistotniejszą prawo równowagi. W tej walce dążymy wyłącznie do podporządkowania przyrody własnemu wygodnictwu i maksymalnemu ułatwieniu sobie życia, lecz jakże mało uczyniliśmy, aby sam człowiek był lepszy i szczęśliwszy. Dziwnie nieharmonijny to rozwój, który wiedzie ostatecznie do zguby."

A dalej pisze Krygowski: "Moje pokolenie wie, co mu dały góry - mimo dwóch wojen, mimo czasów śmierci i pogardy. Jakie to wspomnienia wypracują sobie narciarze czekający w kolejce na kolejkę, dreptający w miejscu na ubitym śniegu, a zupełnie bezradni wobec zimowych gór i co zachowają w pamięci nie wiedzący w zgiełku rajdów, które idą i co widzą. Taka bowiem jest turystyka, jaka jest postawa moralna i społeczna człowieka... Do gór trzeba dorastać, a nie góry obniżać do siebie".

Z przebogatej Kroniki odnotowuję kilka notatek. Władysław Krygowski krytykuje zjawisko nieprzemysłanej budowy wyciągów narciarskich w górach. Irena Gawlińska ponownie zwraca uwagę na fatalny poziom naszych map turystycznych i przypomina postulaty przekazane w tej sprawie przez KTG ZG PTTK do Zakładu Kartografii Instytutu Geografii Uniwersytetu Warszawskiego.

Ponadto w Kronice znajdujemy wszystkie stałe działy, a w części poświęconej ochronie przyrody - jak zwykle /niestety!/ sporą wiankę "kwiatków niechronionych", które to wiadomości każą zwątpić w słuszność wspaniałych teorii ochrony przyrody, jakimi słusznie szczyli się nasz kraj.

Ostatnią w Kronice notatkę przytaczam w całości:

"Z ostatniej chwili. Gdy do rąk czytelników dociera bieżący, 43 rocznik "Wierchów", kolejny - 44 rocznik "Wierchów" jest już oddany do druku. Będzie on ostatnim rocznikiem ukazującym się w stulecie pierwszego "Pamiętnika TT"/1876 r./ - pod redakcją Władysława Krygowskiego, który po przeszło 25-letnim redagowaniu "Wierchów" zrezygnował z dalszego kierowania wydawnictwem". Tyle notatka.

Ustąpienie mgr Władysława Krygowskiego ze stanowiska Redaktora Naczelnego "Wierchów" będzie kolejnym akordem końca epoki w naszej górskiej turystyce o stuletnich tradycjach. Poprzednimi akordami było:

- ustąpienie mgr Władysława Krygowskiego ze stanowiska Przewodniczącego Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK
- utworzenie Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej i Narciarskiej, którego regulamin niedwuznacznie odbiera wszystkie uprawnienia Komisjom statutowym naszego Towarzystwa, tj Komisji Turystyki Górskiej i Komisji Turystyki Narciarskiej.

Jaka będzie następna epoka, pokaże przyszłość. Nie sposób jednak być optymistą.

W sprawozdaniu KTG ZG PTTK za okres od października 1973 roku do września 1974 roku, w omówieniu Plenum KTG z 22 września, wspomniano, że mgr Władysław Krygowski uzasadnił obszernie, dźlaczego mimo wyboru

przez Krajową Radę Aktywu Górskiego złożył rezygnację z przewodniczenia KTG. Moim zdaniem protokół z tego Plenum, a przynajmniej motywacja, powinien być opublikowany. Przyczyny, które zmusiły mgr Władysława Krygowskiego do rezygnacji z piastowanych funkcji, interesują szerokie grono turystów górskich, dla których Krygowski był i będzie moralnym wodzem. Ponadto zapobiegło by to wielu niepotrzebnym nieporozumieniom i nieprawdziwym wiadomościom na ten temat.

Kończąc omówienie kolejnego tomu "Wierchów" apeluję do Redakcji o to uzupełnienie, a wszystkich gorąco zachęcam do lektury tego nieporównywalnego wydawnictwa.

Jacek K. Ciesielski

#### Turystyczne nowości wydawnicze

##### NOWY ŚWIETNY PRZEWODNIK

Władysław Krygowski - Przez przełęcz Bieszczadów samochodem i z plecakiem. Przewodnik. Wyd. Sport i Turystyka, Warszawa 1975, s. 124, c. 16 zł

Idąc naprzeciw nowoczesnym formom turystyki autor chce z jednej strony umożliwić szybkie dotarcie samochodem do najpiękniejszych części Bieszczadów, a równocześnie zachęcić do pieszego po nich wycieczkowania, które jest /a przynajmniej powinno być/ głównym celem dojazdu. Opisuując po kolei miejscowości wzdłuż Dużej i Małej Obwodnicy autor wyprowadza turystę na najciekawsze szczyty. Cały czas zachęca do zejścia z utartej drogi na ścieżki górskie. Do przewodnika dołączono dwie mapki. Jedna schematycznie przedstawia obie obwodnice i opisane szlaki górskie, druga to pełna mapa turystyczna Bieszczadów.

Nieporównywalny urok przewodnika to wspomnienia ludzi, którzy niegdyś żyli w Bieszczadach i żołnierzy walczących tu z bandami. Wreszcie sam Krygowski opisuje barwnie swe wrażenia z Bieszczadów sprzed 50 lat i sprzed 25 lat. Poza tym w tekście liczne informacje historyczne. Ta forma opisu wiąże uczuciowo turystę ze zwiedzonym terenem. Tu właśnie ujawnia się talent autora.

ładne rysunki Hanny Kohlmann-Maczubskiej, czytelny układ i estetyczne wydanie sprawiają, że z przyjemnością zagląda się do tej książeczki, zaś dogodny kieszonkowy format umożliwia jej stałe noszenie. Oby jak najwięcej tak praktycznych przewodników.

Kazimierz Hempel

Materiały do publikacji należy nadsyłać w 2 egz.maszynopisu. Redakcja przyjmuje prace nigdzie dotąd nie publikowane. Objętość artykułu nie może przekraczać 4 stron. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian tytułów oraz dokonywania skrótów i poprawek stylistyczno-językowych. Nadsyłane fotografie powinny być kontrastowe, wyraźne, odbite na błyszczącym papierze i opatrzone na odwrocie krótkim opisem oraz imieniem i nazwiskiem Autora. Artykuły są honorowane według obowiązujących stawek. Honoraria wypłacane są po ukazaniu się numeru. O przyjęciu pracy do publikacji decyduje kolegiąlnie Komitet Redakcyjny.

o - o - o - o - o - o - o - o - o

BIULETYN PTTK jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego PTTK, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK.

Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi

Adres Redakcji: ul. Piotrkowska 102a 90-004 Łódź tel. 229-86

o - o - o - o - o - o - o - o - o

Redaguje Komitet w składzie:

Edward Chmąy, Jacek K. Ciesielski /Sekretarz Redakcji/, Kazimierz Hempel /Redaktor Naczelny/, Zofia Keppe, Jerzy Klamann, Stanisław Maciaszczyk, Eugeniusz Małafiej, Władysław Menduk, Leonard Matuszewski, Andrzej Robak, Paweł Suwałski, Henryk Szubert, Stanisław Tarnowski i Jan Zienkiewicz

o - o - o - o - o - o - o - o - o

Numer zamknięto dnia 23 września 1975 roku

o - o - o - o - o - o - o - o - o

#### SPIS TREŚCI NR IX/231/75

1. Franek Hodorowicz	- Moje Podhole	1
2. Kazimierz Hempel	- Po co idziemy, po co wozimy, po co się spotykamy	2
3. Jacek K. Ciesielski	- Na X Zlot Przewodników GOT Okręgów Nizinnych PTTK	2
4. Władysław Krygowski	- U początków przewodnictwa górskiego	7
5. Krystyna Konopka	- Moje pięciotysięczniki afrykańskie	9
6. Przemysław Pilich	- Cmentarze wojenne w Beskidach	11
7. Leon Hendzel	- Malarz Beskidu Niskiego	16
8. Franek Hodorowicz	- Koleżanki moje	17
9. Jacek K. Ciesielski	- Nowy szyld czy zerwanie z tradycją	17
10. Jerzy Klamann	- Saga o łódzkim goralu	18
11. Leon Hendzel	- Rocznica	20
12. Jacek K. Ciesielski	- "Wierchy" rok czterdziesty trzeci	22
13. Kazimierz Hempel	- Nowy świetny przewodnik	25

o - o - o - o - o - o - o - o - o